

Wacław Lewandowski

Wspominając panią Marię : Maria Danilewicz-Zielińska (1907-2003)

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 1-2 (7-8), 291-292

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMINAJĄC PANIĄ MARIĘ MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA (1907–2003)

Nie będę przypominał jej zasług i dokonań. Są znane, należyście utrwalone i nadal utrwalane przez tych wszystkich, którzy ocenili i docenili jej wieloletnią służbę niepodległej nauce i kulturze polskiej.

Kilka impresji, zamiast pośmiertnego wspomnienia. Pamiętam zatem wrażenie, jakie wywarło jej *Posłanie do torunian*, które w marcu 1995 nadesłała na wieczór autorski, zorganizowany przez Towarzystwo Bibliofilów im. J. Lelewela i Towarzystwo Naukowe w Toruniu. Z ujmującą prostotą mówiła o swoich (wtedy) 88 latach, których ciężar nie pozwalał jej wybrać się w podróż znad Tagu nad Wisłę. Wspominała Toruń zapamiętany z lat dziecińczych, jako miasto „zagraniczne”, dokąd z jej rodzinnego Aleksandrowa Kujawskiego (w owych czasach „Pogranicznego”) można było podróżować tylko za paszportem. Zastanawiając się nad swoim życiowym powołaniem bibliofilskim, bibliotecznym, naukowym i literackim, jego wczesne źródło dostrzegła w dzieciństwie, w domu rodzinnym, w wychowaniu w kulcie pisanego słowa, w prostym rytuale codziennego rodzicielskiego głośnego czytania książek dzieciom.

Aleksandrowskiemu dzieciństwu poświęciła najpiękniejsze ze swoich opowiadań, które określała mianem „kujawskie”. Gdy przygotowywałem ich krajową reedycję w nowym wyborze, telefonowałem do niej często, zawsze gdy pojawiały się jakieś wątpliwości czy konieczność uzgodnień. Zadziwiała świeżością pamięci tekstów, nieraz napisanych kilkadziesiąt lat temu i nie wznawianych od tamtej pory. Czulo się, że Pani Maria jest z tekstem literackim zżyta jak z bliską osobą, której można wiele lat nie widzieć a przecie pamięta się każdy szczegół twarzy, zmarszczkę, zmrużenie oczu, dołek uśmiechu, grymas ust. Toteż świadom siły owego przywiązania bardzo byłem skrupowany, gdy w przypadku jednego z opowiadań musiałem zaproponować daleko idące zmiany redakcyjne, nazwijmy — „gruntowną modernizację”. Po przesłaniu proponowanych korektur z wielką treścią telefonowałem, by dowiedzieć się, jak odniosła się do wprowadzonych zmian. Powiedziała najprościej: „Rozumiem, że są korzystne dla tekstu, więc akceptuję”. Nie było w niej nic ze spotykanego często u autorów przywiązania do każdego przecinka własnoręcznie postawionego na papierze, nic z tego nabożeństwa wobec własnych działań i własnej osoby, jakie często spotyka się u ludzi. Nawet wobec przez nią samą opowiedzianej literackiej fabuły pełniła swą „funkcję służebną”, jak zawsze wobec tego, co jest dobrem kultury i nad czym bez wahania roztoczyłaby opiekę.

Nie mieliśmy się nigdy zetknąć osobiście, zobaczyć. Z ogromnym żalem jechałem do Aleksandrowa Kujawskiego, by pośród innych powiedzieć, zgodnie z jej prośbą, kilka słów nad jej grobem. Przewieziona z Portugalii urna z prochami miała być złożona na cmentarzu pamiętającym początki pogranicznego miasta, w grobie matki. Wyobraźnia podsuwała obrazy jej ostatnich dni w dalekiej pustelni. Tragizm bezradności, samotność. Pożar, zniszczenie domu, ogrom złych przeżyć. Miało więc być smutno, boleśnie, beznadziejnie... Tymczasem, gdy Panią Marię żegnały w miejscowym kościele dzieci z Zespołu Szkół jej imienia w pobliskich Stawkach, usłyszeliśmy wiele pięknych, szczerych i wzruszających słów. Bo jak ma nie zakłuć serce, gdy słyszy się małą dziewczynkę, paroletnią, z prowincjonalnego miasteczka, która dziękuje Pani Marii za liczne rozmowy telefoniczne i za to, że miała w niej, w dalekim, niewyobrażalnie dalekim dla takiej dzieciny świecie kogoś bardzo bliskiego, przyjaciela, powiernika i mądrego doradcę?

Potem przemarsz główną ulicą Aleksandrowa. Kompania honorowa wojska, kondukt. Wszyscy mieszkańcy wylegli na ulicę, wszyscy żegnają tę słynną rodaczkę, Honorową Obywatelkę ich miasta. Droga na cmentarz wiedzie w pobliżu kamienicy, w której był dom rodzinny Pani Marii i apteka jej ojca. Patrząc na szyld nad oknem — nadal jest tu apteka! Kto powiedział, że nie ma powrotów z emigracji?! Tu wszystko jest takie, jakby czas stanął dla niej, w nagrodę za jej wierność tej ziemi, temu regionowi.

Z Aleksandrowa do Stawek prowadzi szosa, jak to na Kujawach, niezbyt szeroka, obsadzona w skrajni drzewami. Dziś nazywa się „Aleją Marii Danilewicz Zielińskiej”. Pocieszam się myślą, że stamtąd, gdzie Pani Maria jest, widać dobrze tę drogę, zabudowania i pola za nią, widać też dalszą perspektywę, za Stawkami, aż po uzdrowski Ciechocinek. Taki widok, taka możliwość się należy. Po ofiarnym, pracowitym życiu — powrót na ukochane Kujawy.

Wacław Lewandowski (Toruń)